

STEFAN WOLNY

Katowice, dnia 15 sierpnia 1946 r., sędzia okręgowy śledczy Jan Sehn, działając na zasadzie Dekretu z dnia 10 listopada 1945 r. (DzU RP nr 51, poz. 293) o Głównej Komisji i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, jako członek Głównej Komisji, przesłuchał w trybie art. 255, w związku z art. 107, 115 kpk, niżej wymienioną osobę, która zeznała, co następuje:

| | |
|--------------------------------------|--|
| Imię i nazwisko | Stefan Wolny |
| Data i miejsce urodzenia | 30 października 1903 r. w Kamienskoje (ZSRR) |
| Imiona rodziców | Walenty i Emilia Wyszyńska |
| Wyznanie | rzymskokatolickie |
| Narodowość i przynależność państwowa | polska |
| Miejsce zamieszkania | Poraj, pow. Zawiercie |

W obozie oświęcimskim przebywałem od 6 grudnia 1941 r. do 28 października 1944 r. jako więzień nr 23 818. Po przeniesieniu mnie z Oświęcimia przebywałem, aż do oswobodzenia, w obozach Oranienburg, Sachsenhausen, Ravensbrück i Barth.

W Oświęcimiu pracowałem najpierw w magazynie materiałów budowlanych (*Bauhof*), następnie w *Bekleidungswerkstätte*, która mieściła się wówczas w garbarni, z kolei przez krótki czas w komandzie *Kanalbau*, a od sierpnia 1942 r. w magazynie żywnościowym dla więźniów (*Häftlingsmagazin*). Do magazynu odzieżowego dostałem się jako tapicer. Nie znałem tego zawodu, ale – chcąc ratować się przed pracą w zimie w otwartym składzie materiałów budowlanych – podałem się za tapicera.

W krótkiej przerwie między pracą w *Bekleidungswerkstätte*, a w komandzie *Kanalbau* byłem przez kilkanaście dni w szpitalu w bloku 21. z powodu odmrożenia rąk. W szpitalu leżeli

wówczas przeważnie „odmrożeńcy” bez palców, bez uszu, bez nosów. Leżał tam wówczas kolega mój Stanisław Pięta, który nie miał już palców u rąk i nóg, brak mu było nosa i uszu. Pełniący wówczas w tym bloku służbę lekarz-więzień dr. Kirschmidt z Tarnowa 13 marca 1942 r. rano doradził mi, bym mimo mego stanu zdrowia, który wymaga w dalszym ciągu leczenia szpitalnego, koniecznie szpital opuścić. Nie poznawszy przyczyny tego zalecenia, zaraz z rana wypisałem się ze szpitala. Okazało się, że postąpiłem słusznie, ponieważ tego samego dnia wywieziono z wszystkich bloków szpitalnych wszystkich więźniów okaleczonych i chorych, nierokujących szybkiego powrotu do pracy. Liczby dokładnej podać nie mogę. Ilość wybranych wówczas ze szpitala szła w setki. Chorych tych wywieziono do obozu w Brzezince, na odcinek, który później oznaczono jako część obozu żeńskiego. Znajdowała się tam wówczas resztką niedobitych rosyjskich jeńców wojennych. Chorych tych wyrzucano na otwartych placach przed blokami na stosy przez podniesienie platformy samochodu. Leżących na stosach polecano dobijać więźniom rosyjskim. To samo robili SS-mani. Fakt ten znany mi jest z opowiadania jednego z kolegów z Sosnowca (nazwiska nie znam), który tę wywózkę i pobyt na tym odcinku w Brzezince przeżył. Udało mu się to dlatego, że leżał pod innymi zwłokami i dzięki temu uniknął śmierci.

Zwłoki pomordowanych wówczas spalono w krematorium I w Oświęcimiu. Popioły pozostałe po spaleniu tych zwłok przewoził kolega mój Jurek Mysakowski z Tarnawatki pod Lublinem na rolwadze i wysypywał [je na] ścieżkę koło *Führerheimu*. Mysakowski rozstrzelany został w grupie 265 więźniów z Radomia i Lublina 28 października 1942 r.

Losiem wywiezionych 13 marca 1942 r. ze szpitala interesowałem się, ponieważ było wśród nich wielu kolegów z moich okolic.

Jako tapicer z magazynu odzieżowego reperowałem wraz z kolegą Stefanem Kurzynogą w styczniu 1942 r. kanapę w prywatnym mieszkaniu komendanta Hößa. Nie interesował się on nami specjalnie w czasie tej pracy, którą staraliśmy się, jak najbardziej przedłużyć, gdyż dawała nam ona możliwość zorganizowania żywności, co było wówczas bardzo ważne, ponieważ w obozie panował głód. O jego rozmiarach świadczy fakt, że wykradaliśmy żarcie z misek dla psów Hößa. Były to flaki z rzeźni lub zupa więzienna. Ponieważ psy ani jednego, ani drugiego nie tknęły, więc żarcie to wyjadaliśmy. Służąca Hößa stwierdziwszy to podawała nam w południe trochę zupy i po kawałku chleba, ostrzegała nas przy tym, że musimy jeść tak, by komendant Höß tego nie zauważył. Wiosną 1942 r. panował w obozie tak straszny

głód, że ja sam jadłem trawę i dżdżownice. Na własne oczy widziałem, jak dwaj więźniowie toczyli walkę na śmierć i życie, mało się nie pozabijali, o kość ze śmietnika SS. W razie wykrycia próby organizowania jakiegokolwiek pożywienia, np. w razie znalezienia u więźnia surowego ziemniaka, SS-mani katowali sprawcę w straszny sposób.

Z czasów mej pracy w magazynie odzieżowym przypominam sobie publiczne ukaranie pięciu czy też sześciu kolegów tam zatrudnionych za to, że maszyna do szarpania szmat, przy której oni byli zatrudnieni, zapaliła się. Wymierzono im po 25 kijów. Byli przy tym obecni komendant Höß i ówczesny *Lagerführer* Aumeier. Höß przychodził często do magazynów odzieżowych. W czasie jego pobytu kapo i SS-mani towarzyszący Hößowi bili więźniów i poganiali ich przy pracy. Gdy dla któregoś więźnia zabrakło w danej chwili prawdziwego zajęcia, to musiał udawać, że pracuje. Höß na bicie więźnia nie reagował, udawał, że tego nie widzi. Bardzo często uśmiechał się i odwracał w inną stronę.

W sierpniu 1942 r. dzięki pomocy kolegi Mysakowskiego dostałem się do magazynu żywnościowego dla więźniów (*Häftlingsmagazin*), gdzie Mysakowski właśnie w tym czasie pracował. Magazyn ten mieścił się w dobudowanych skrzydłach kuchni więziennej. Wśród więźniów nazywano go kanadą. Spośród zatrudnionych tam ze mną przypominam sobie Zygmunta Renikasa z miasta Łodzi, Mieczysława Wiatra z Warszawy, Mieczysława Kotlarskiego, nauczyciela z Chorzowa, ul. Powstańców 51. Kapo komanda był Adolf Maciejowski [z] Chorzowa. Szefem był SS-*Unterscharführer* Franz Schebeck z Wiednia. Był on blisko zaprzyjaźniony z Grabnerem oraz pozostawał w dobrych stosunkach z Hößem.

Praca komanda polegała na zwożeniu do magazynów wszystkich produktów żywnościowych z transportów przybywających do Brzezinki oraz rozdział żywności na komanda. Przybyli na rampę wyładowczą w Brzezince Żydzi musieli wszystkie przywiezione ze sobą bagaże pozostawić w wagonie, a to, co z wagonu zabrali, składać na rampie. Spośród tych rzeczy wybieraliśmy żywność i przewoziliśmy ją do magazynu. W związku z tym zajęciem byłem wielokrotnie na rampie wyładowczej w Brzezince. Początkowo rampa ta znajdowała się tuż za dworcem, lecz stąd przeniesiono ją w obręb obozu w Brzezince, ponieważ chodziło o zachowanie w tajemnicy tych scen, jakie rozgrywały się przy przybyciu takiego transportu. Przybycie każdego transportu było awizowane, ponieważ cała rampa otoczona była w chwili przybycia pociągu transportowego przez SS-manów uzbrojonych w broń automatyczną, laski i prowadzących psy. Po wtoczeniu pociągu na rampę SS-mani otaczali go, otwierano wagony i polecano przybyłym wysiadać.

Ludzie ci zachowywali się bardzo różnie. Jedni byli wystraszeni, inni śmiali się i nie zdawali sobie sprawy [z tego], dokąd przybyli, jeszcze inni, przede wszystkim zaś Żydzi polscy, zachowywali się godnie i butnie stawiając opór SS-manom. Opór ten łamano bezwzględnie biciem, szczuciem psami, a gdy to nie pomagało strzelano. Po wyjściu żywych z wagonu wynoszono z nich trupy zmarłych, względnie dobitych lub zastrzelonych. Transporty Żydów z Sosnowca i Będzina przysły posiekanymi od kul wagonami.

Przy przybyciu tych wszystkich transportów żydowskich obecni byli zawsze na rampie Höß, *Lagerführer*zy z Oświęcimia i Brzezinki, *Arbeitsdienstführer*, funkcjonariusz Oddziału Politycznego (najczęściej Grabner, względnie Woźnica [Wosnitza]) oraz lekarz SS. Z transportów takich wybierano przede wszystkim dzieci, starców i chorych do jednej grupy, a niewielką część mężczyzn do pracy do drugiej grupy. Tę małą grupę odprowadzano piechotą do obozu, a starców, dzieci i chorych ładowano na auta i wywożono do krematoriów Brzezinki. Pamiętam, jak Höß polecił nam, [pracownikom] kanady żywnościowej, załadować kiedyś na rolwagi chorych i dzieci pozostałych w wagonach po wyjściu z nich zdrowych [osób]. Zebraliśmy chorych i dzieci, i na rolwagach przewieźliśmy do aut. Tu chcieliśmy chorych zdejmować z rolwagi. Höß przybiegł do nas z wraskiem i polecił rolwagi przewrócić i w ten sposób wysypać na kupę ich zawartość, co też zrobiliśmy. Widziałem, jak Höß bił kobiety oporne, niechące rozłączyć się z dziećmi, względnie te, które nie chciały wejść do samochodu. Innym razem znowu z galanterią i z ironicznym uśmiechem na ustach podawał rękę kobiecie, pomagając jej w ten sposób wejść do samochodu, który odwoził ją do krematorium.

W 1944 r., kiedy Höß wrócił do Oświęcimia jako pomocnik specjalny do przeprowadzenia akcji wyniszczenia Żydów węgierskich, opowiadał mi SS-man, z którym byłem w dobrych stosunkach, że z powodu nawału tych transportów, które w tym czasie przybywały, SS-mani ociągali się w pracy przy ich wyładowaniu i likwidowaniu. Palono wówczas zwłoki zagazowanych również w dołach. Höß widząc opieszałość SS-manów złapał za nogę małe dziecko i wrzucił je do ognia. Powiedział przy tym, że jako SS-mani powinni w ten sposób postępować, a nie doprowadzać do tego, by musiał ich do pracy zachęcać. Za przykładem Hößa także i inni SS-mani wrzucali żywe dzieci do ognia. Nazwiska owego SS-mana sobie nie przypominam, przypuszczam, że będzie je dobrze pamiętał Kotlarski.

Na przełomie lat 1943/1944 przybyły do Oświęcimia masowe transporty wysiedleńców z Zamojszczyzny i Hrubieszowa. W niedługi czas później przybył transport 400, a może 600

polskich policjantów z Lublina, którzy odmówili udziału w walce z partyzantami. Wszystkich ludzi przybyłych tymi transportami zagazowano. W tej sprawie mógłby udzielić informacji Kotlarski i Stanisław Wilk zamieszkały obecnie w Jeleniej Górze.

Pod koniec 1943 r. gazowano również w Oświęcimiu Polaków – starców z terenów przyłączonych do Rzeszy. Znalazłem kiedyś w cukrze ukrytą legitymację (palcówkę) staruszki z Oświęcimia, której córka pracowała w Oświęcimiu u piekarza Landsmanna.

Z rampy zwoziliśmy, tzn. komando w którym ja wraz z 12 innymi kolegami pracowałem, do sortowni magazynu zwanego kanadą wszystkie pozostawione na rampie i w wagonach środki żywności. W magazynie rzeczy te sortowaliśmy według rodzajów i gatunków. Wszystkie lepsze, wysokowartościowe i cenne produkty odstawiane były do kuchni SS, względnie wydawane na polecenie zwierzchnika Schebecka do *Führerheimu*, gdzie produkty te zużywano na przyjęcia dla dygnitarzy SS – Himlera, Pohla i innych, którzy wielokrotnie i często do Oświęcimia przybywali. Ponadto z rzeczy tych wydawano bardzo wiele na polecenie Schebecka Hößowi, Grabnerowi i nawet funkcjonariuszowi obozowego SD (nazwiska nie pamiętam). Schebeck korzystał z tych rzeczy bez ograniczenia. Przed każdym urlopem zanosił Hößowi prezenty jak wino, sardynki, czekoladę, kawę, herbatę i inne tego rodzaju wartościowe produkty. Duża część tych artykułów luksusowych szła do Porąbki, gdzie dla SS-manów zatrudnionych przy przyjmowaniu transportów żydowskich urządzony był specjalny dom wypoczynkowy. Za pracę przy tych transportach otrzymywali oni specjalne dodatki (*Sonderzulage*) w postaci wina, sardynek, marmolady, czekolady itp.

Do domu Hößa każdego tygodnia w sobotę odnosiło nas dwóch wina, kawę, herbatę, ryż, sardynki, czekoladę i inne produkty. Na *Sonderzulagi* zużywano również zawartość paczek nadsyłanych dla poszczególnych więźniów, przeważnie Żydów, którzy już dawno nie żyli, na zamówienie szwajcarskiego Czerwonego Krzyża przez firmy portugalskie. Odbiór tych paczek kwitował specjalnie w tym celu trzymany w paczkarni Żyd. Z paczkarni przechodziły one do magazynów kanady, a stąd rozdzielane były pomiędzy SS-manów. Większość szła do *Führerheimu*. Zwożone do magazynów produkty kryły w sobie wiele kosztowności, drogich kamieni, precjozów, biżuterii, wartościowych dewiz oraz złotych pieniędzy. Pamiętam, że w jednym tylko worku mąki z transportu będzińskiego znalazłem w rulonach 300 złotych monet rosyjskich. W produktach z tego transportu znaleźliśmy ponadto około pół miliona marek niemieckich. Wartości tych kosztowności nie potrafię, nawet w przybliżeniu, określić.

W każdym razie był to olbrzymi majątek. Wszystkie znalezione kosztowności i pieniądze zabierał od nas *Unterescharführer* Schebeck. Jestem przekonany, że większość zabranych rzeczy zachował dla siebie, a resztę rozdzielił między Hößa, Grabnera i innych czołowych funkcjonariuszy. Oddane rzeczy sortował on w magazynie i pamiętam, jak sam pewnego razu odrzucał na bok mniej wartościowe rzeczy, mówiąc przy tym, że nadają się one do oddania urzędowego. Gestapo obozowe prowadziło później dochodzenie przeciwko Schebeckowi. Poinstruowany przez niego kapo Maciejowski polecił nam w toku dochodzenia zeznawać w czasie przesłuchiwań, że w czasie przeszukiwania rzeczy pożydowskich żadnych kosztowności nie znajdujemy.

W czasie mego pobytu w obozie przyglądałem się wielu egzekucjom, które wykonywano publicznie w czasie apelów. Höß był przy wszystkich tych egzekucjach obecny. Umyślnie śledziłem wyraz jego twarzy i dlatego stwierdzam na tej podstawie, że był on zawsze zadowolony.

Egzekucje te wykonywane były przeważnie za próbę ucieczki. Pamiętam powieszenie Żyda holenderskiego, jakiegoś dziennikarza. Bezpośrednio przed egzekucją przystąpił do skazańca ówczesny *Lagerführer* Hessler [Hössler] i zapytał skazanego, czy nie boi się śmierci. Skazaniec odpowiedział: „Nie”, poczym go powieszono. Postronek zerwał się jednak i skazaniec stanął na równych nogach i powiedział do Hösslera: „Widzi pan, mówiłem, że nie ma się czego bać, niech pan spróbuje”. Było to również w obecności Hößa, który rozwścieczony kazał go odprowadzić do bloku 11. Następnego dnia skazańca tego odwieziono do komory gazowej.

Odczytano. Na tym czynność i protokół niniejszy zakończono.